

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Bój pod Rokitną 1915 roku...

(W 19-tą rocznicę szarży ułanów rotmistrza Wąsowicza)

Na polach Rokitny, hen na pograniczu Besarabii i Bukowiny rozegrał się w czasach Wielkiej Wojny jeden z krwawych i zaszczytnych epizodów w łańcuchu bojów i trudów II. Żelaznej Brygady Legionów Polskich. Szarża pod Rokitną wskrzesiła najpiękniejsze tradycje skrzydlatej husarii z pod Kłuszyna, Chocima i Wiednia i godnie stanęła obok szarży, której echa odbiły się 126 lat temu o skalisty wąwóz hiszpańskiej Somosierry. Obie rozniosły sławę polskich szwoleżerów i ułanów po całym świecie.

Jakże dziś często mówi się u nas i pisze o tych „co na stos rzucili swój życia los“, a nie wspomina zupełnie lub tylko mimochodem o „Golgocie i cierniowej drodze Karpackiej Brygady“ pod wodzą mężnego i wysoko dzierzącego honor swych żołnierzy, generała Józefa Hallera! A wszak dzieje i czyny tej Brygady — to jedna olbrzymia, ciężka, krwawa i bohaterska droga — ku Wolnej Polsce!

Starym Ojców naszym szlakiem
Przez krew idziem ku wolności!
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem,
My — żołnierze sercem prości —
Silni wiarą i nadzieją,
Że tam kędyś świty dniesi! —

śplewała Karpacka Brygada, przechodząc „góry, lasy i wały“ z niezachwianą wiarą w swego Wodza i zmartwych-wstającą Ojczyznę.

Przyszła Rokitna.

Czastka tej Brygady świadczy krwią niesłychanym męstwem i pogardą śmierci o wartości polskiego żołnierza. Rotmistrz Dunin-Wąsowicz na czele swego szwadronu wykopuje bohaterską szarżę na potrójne, kryte okopy rosyjskie i wśród piekielnego ognia artylerji i karabinów nieprzyjacielskich zdobywa zażarcie bronione nieprzyjacielskie pozycje:

„Rozkaz padł... I stanęła szara śma
w szeregu.
Błyska szabla, Już pędzą!... Po kwie-
cistej błoni
miga się huf strażców rozpetany
w biegu,
śmierć przed nim! — w nich gromy —
a wicher ich goni!“

Albowiem jak wicher ruszyli, porwali męstwem swego Wodza ułani na na pierwszą linię okopów, wyrzucili nieprzyjaciela i choć gęsto zaścielili drogę trupami i rannymi, jak huragan pomknęli ku następnym okopom:

„Jezus, Marja! Dopadli... Już pierwsze
okopy
zniknęły pod kopytem. Wichura rwie
dalej,
niepomna, że śmierć żniwa swego
zbiera snopy.
Już drugi okop tonie w jeźdźców
szarej fali...“

I tu przeszli, jak burza, ponad głowami niespodziewających się takiego męstwa Moskali, uderzając z furją na trzecią linię okopów. I choć wała się konie i jeźdźcy, choć ziemia, ludzie i konie broczą krwią, — impet rośnie i rośnie! Oto prawdziwa polska fantazja rycerska! Bo oto, gdy śmierć zbiera krwawe

żniwo, gdy się rozpętały — zda się — wszystkie złe moce — oni bez opamiętania mijają zdobyte trzy linie okopów i mimo śmiertelnej kośby widzą przed sobą nowy cel: pozycje nieprzyjacielskiej artylerji i — ku niemu mkną! I oto już tylko sześciu ułanów trwa w brawurowej szarży!

„Przed ułana polskiego skłoni się
majestatem
Gdzie czwartego okopu szarżę się
smugi,
dojść po trupach święconych polskiej
krwi szkarlatem!
Sześciu doszło! Ułanów polskich
szwadron drugi!“

Wobec spełnienia właściwego zadania, zawracają ku swoim, a piechota ich bohaterskim szlakiem podąża do boju i zajmuje nieprzyjacielskie okopy.

A oto rozkaz pochwalny Komendanta Legionów exc. Durskiego, w którym szarża pod Rokitną przechodzi do historii największych wysiłków oręża polskiego: „Nieśmiertelna ta szarża 2-go szwadronu ułanów legionowych stała odtąd godnie obok Somosierry, a imiona dzielnych oficerów i żołnierzy tego szwadronu tak sławnie za Polskę poległych, złotymi zgłoskami zapisują się do księgi polskich bohaterów!“ — Bo istotnie krwawo okupili tę szarżę ułani rotmistrza Wąsowicza: na sześćdziesięciu, tylko dwudziestu wróciło całych i zdrowych z tego śmiertelnego skoku, piętnastu padło, ośmiu zaginęło, reszta odniosła ciężkie rany.

Padł dowódca bitnego szwadronu, który nieśmiertelną glorią okrył imię polskiej kawalerji w ciężkich bojach karpackich: rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz, prawnuk bohatera z pod Somosierry.

Padł wierny Jego towarzysz, Lwowianin z pochodzenia, organizator jazdy w „Sokole III“: porucznik Jerzy Topór-Kisielnicki, niezwykle śmiały i zdolny do brawurowych i ryzykownych czynów, rycerz. Był nieodrodnym i godnym spadkobiercą rycerskiej tradycji świetnych „Zagończyków“ kresowych.

Padł jeden z tych, którzy idą pełnić

obowiązek z głębokiego przekonania i zrozumienia sprawy: podporucznik Roman Włodek, żołnierz pełen godności, zahartowany w twardej służbie, a w obliczu niebezpieczeństwa rycerz pełen zimnej odwagi.

Gina mężnie w szarży: wachmistrz Tadeusz Adamski i wachmistrz Władysław Nowakowski. Pierwszy wsławiony mężnymi czynami przy boku ukochanego pułkownika Hallera, drugi nieustraszonego żołnierza i dzielny towarzysz wszystkich wypraw śp. rotmistrza Wąsowicza.

Kończy bohatersko życie kapral Karol Karasiński i prócz niego dziewięciu szarych, lecz wiernych aż do zgonu towarzyszy — ułanów: Bolesław Kubik, Bronisław Łuszczewski, Michał Majda, Eugeniusz Potok, Jerzy Rakowski, Tadeusz Starczewski, Mikołaj Szysz Władysław Tworowski i Antoni Zwatschke.

Nazwiska tych wszystkich bohaterów, poległych chlubnie 13 czerwca 1915 roku w szarży pod Rokitną zostały zapisane złotymi zgłoskami w historii i przekazane pamięci pokoleń po wszystkie czasy! Współczesne zaś pokolenie z dumą wspomina czyn rokitański, jako echo sławy idącej przez wieki, wskrzeszonej niedawno u skał Somosierry, w latach Wielkiej Wojny zaś na polach Rokitny...

Rany porucznika Fafary, wachmistrza Sokołowskiego, kaprała Sperbera, Bukalskiego, Brinkena i innych pozostaną dla nich na zawsze najdroższą pamiątką, jaką obdarzyła ich odradzająca się Ojczyzna.

Obrzęd, jaki odbył się w dniu 15 czerwca 1915 na cichym cmentarzu w Rafańcu był ostatnim pożegnaniem tych „których krew przelana została za honor oręża polskiego...“ (Ks. płk. Panaś) Na polach Rokitny bowiem padł kwiat rycerstwa, zrywającej się do walki, Polski. To też słuszny był żal szczery starego, wytrawnego żołnierza generała Zielińskiego, kiedy „tży ronil,

a głośnie szlochanie wstrząsało jego pierś“ gdy żegnał bohaterów rotmistrza Wąsowicza.

I oto sława Ich rozniosła się lotem błyskawicy po całym kraju.

Nadszedł dzień 24 czerwca 1915 roku... Jeszcze raz wówczas wszyscy ułani Wąsowicza stanęli w ordynku wraz ze swym nieustraszoną Wodzem. Nastąpiło udekorowanie Tych „co żywi wyszli“ i nadanie srebrnych medali I. klasy Tym „co polegli...“ a Brygadjer w pamiętnych słowach stwierdził, iż „dumny jest, że może odznaczyć polskich legionistów za czyn tak rycerski, za tak świetną szarżę kawalerji, jakiej podobnej historia wojen nie łatwo znaleźć może...“

A któż byli ci, co poszli jak wicher po śmierć i po sławę?... Oto w szwadronie rotmistrza Wąsowicza skupili się wszystkie stany: byli tam asystenci uniwersytetu, inżynierowie, technicy, artyści dramatyczni, artyści malarze, literaci, obywatele ziemscy, górale, było wreszcie kilku prawdziwych krowoderskich zuchów! Ale wszyscy jednako służyli Ojczyźnie i jednakie dla Niej ponosili trudy, rany i śmierć „na Polu Chwały...“

Minęło 19 lat! Lecz gloria nieśmiertelna żyje w sercach rodaków. Ilekroć razy rozpamiętywamy czyn Rokitańczyków, tylekroć razy stają przed naszymi oczyma dwa „pola chwały“: Somosierra i Rokitna i dwa nieśmiertelne szwadrony polskiej kawalerji: szwoleżerowie pułk. Kozińskiego i ułani rotm. Wąsowicza. — Boć obie pamiętne szarże po wszystkie czasy świadczyć będą wspaniale o polskim żołnierzu i jego wodzach!

Boć:

„Piękności jego czynu
Nie zgryzie czasu rdza,
Nie zetrze piętno lat,
Ale w sercach zostanie,
Jak bajka, jak cudny kwiat...“

Bo:

„Wśród dworów i chat
Opowie braciom brat,
Opowie wiekom wiek,
Jak ułan w boje szedł,
Jak ułan w boju padł...“

Prawdą — bo stały się słowa poety, że „wiecznie polski żołnierz będzie ginął w boju — żył w legendzie...“

Rokitna — to krwawa ofiara złożona Posce w przededniu wolności. — Taką też ofiarą była „cierniowa droga“ Brygady generała Hallera.

Po latach dziewiętnastu czcimy dziś mężne duchy karpackich żołnierzy i poległych za Polskę rycerzy z pod Rokitny, składając hołd Ich wzniosłej ofierze i poświęceniu!

„O wam nie leżeć w tej bolesnej
ziemi!“

Ale skrzydłami gdzieś szumieć
złotami
Na polach bitew — i na ognie nowe
Nieś wasze szabla, od krwi koralowa
I wasze serca kulami podarte —
I nad szaniami sprawować gdzieś
wartę

Polskich aniołów bojowych — — —
TADEUSZ GRYP-KLESZCZYŃSKI

Muzeum w oknach wystawowych

Minął t. z. wielki tydzień sezonu paryskiego (okres, w którym sezon ten dochodzi do szczytu ożywienia). Kupey z ulicy Fauburg Honoré bardzo pięknie i z pewną myślą urządzili na ten czas swe okna wystawowe. Ulica ma stare tradycje, tu od wieków mieściły się najmodniejsze sklepy, dzisiaj zaś jej dodaje świetności fakt, że przy niej mieszka prezydent Rzeczypospolitej i znajduje się Ambasada W. Brytanji.

Otóż właściciele magazynów galanterijnych z Faubourg St. Honoré wpadli na pomysł, aby nadać wystawom charakter historyczny. Okna sklepowe zamieniły się w muzeum, dając dobry przegląd, jak wyglądały artykuły modne w ciągu wieków.

Oglądano tu więc trzewiki z czasów Franciszka I. (a więc w I połowie XVI w.), toaletę z wszelkimi przyborami, którą Ludwik XV ofiarował jednej ze swych kochanek, ostrogę Napoleona III i rachunki, które pisał Napoleon I za per-

fumy i rękawiczki. Nie żałował on na ten cel pieniędzy, ale czasy były tańsze od dzisiejszych. Sześć par białych krochmalonych rękawiczek kosztowało cesarza 14 fr. 40, a flaseczka najlepszej wody kolońskiej 2 fr.

Dalej widniały w oknach bombonjarki, butelki, kapelusze z przed lat 50, 100 i więcej. Pewien właściciel magazynu galanterijnego, w którym stale zaopatrywali się „rezydenci Republiki“, wystawił kolnierzyki, jakich używali. Okazało się, że o elegancję pod tym względem dbali tylko Casimir Périer i Carnot. Nie przyniosło im to szczęścia. Pierwszego zmuszono do ustąpienia, drugiego zamordowano.

Gdzieindziej można było przyjrzeć się koszulom, jakie nosił Talleyrand. Lecz najciekawszym zapewne przedmiotem z nowszych czasów była lekka zbroja oficera kirasjerów z czasów drugiego cesarstwa, przeznaczona do tańca i wogóle do okazyj towarzyskich.

Céline i hiperrealiści

„PODRÓŻ DO KRESU NOCY” A KRYTYKA POLSKA

Jak wiadomo, „Podróż do kresu nocy” Ludwika Ferdynanda Céline’a wyszła w polskim przekładzie i trąby reklamy zalecały ją publiczności jako nowe objawienie literackie, jako rzecz nowa, śmiała, pozbawiona hipokryzji — i tak dalej wedle własnego wzoru.

Naturalnie określenia te padały z kół, które nie uznają ekskluzywności narodowej, owszem, uważają za Polaka każdego, kto pisze po polsku, które entuzjazmuja się ustawicznie dla jakiejś „rewelacji” o ogólnoludzkim podkładzie i które — powiedzmy otwarcie — są dzisiaj na wierzchu, gdyż mają na swoje wydawnictwa zasiłki, a dbając więcej o sensacyjne podanie treści, niż o treść samą, wyzyskują obudzony po wojnie poziom umysłowy społeczeństwa, przyzwyczajonego do brukowych metod dziennikarskich. Z drugiej strony — z tej, co jest pod spodem, ale nie zawsze będzie pod spodem — padły pod adresem Céline’a bardzo surowe słowa potępienia.

FALSZYWY REALIZM

Z zaciekawieniem wziąłem książkę do ręki i mimo obrzydzenia przeczytałem. Uznaję realizm i nie jestem zdania, aby każda powieść musiała być pisana z uwzględnieniem dwunastoletnich pamienek jako ewentualnych czytelników. Zdaje mi się jednak, że co do realizmu panuje dzisiaj duże nieporozumienie. Realizm pochodzi od łacińskiego wyrazu *res* = rzecz, a więc określenie mówi o kierunku, polegającym na przedstawianiu wszystkiego tak, jak jest w rzeczywistości, a więc dobrem lub złem, pięknem lub brzydkim, wzniosłym lub obrzydliwym. Tymczasem najczęściej wychodzi się z założenia, że co dobre, piękne lub wzniosłe to musi być nieprawdziwe, że na świecie jest tylko złe, brzydkie i obrzydliwe, a więc realizm musi polegać na malowaniu złego, brzydkiego i obrzydliwego. Zgodnie z takim poglądem popełnia się dwa błędy: 1) eliminuje się dobre, piękne i wzniosłe; 2) przesadza się w złości, brzydocie i obrzydliwości złego, brzydkiego i obrzydliwego.

Obraz życia, jaki z tego wynika, jest z gruntu fałszywy. Nie twierdzą, aby tworzyło je samo dobro, piękno i wzniosłość. Owszem, przeważają dziś, bardziej może, niż kiedykolwiek, pierwiastki przeciwne. A przecie uproszczenie, które widzi tylko minusy, nie zasługuje na inną nazwę, niż potworne go kłamstwa.

Niestety trzeba tu powtórzyć rzecz, jak świat, stare. Każda religia mówi o istnieniu złego i dobrego, każdy system etyki filozoficznej taksamo. Życie ludzkie jest podobne do szachownicy — co prawda zwykle z przewagą pól czarnych. Ale kto białych zupełnie nie widzi, nie zasługuje na miano realisty. Owszem wystawianie go jako realisty będzie polegało na bezkrytycyzmie manji albo świadomym oszustwie.

POWIEŚCI WOJENNE HIPERREALISTÓW

Zastrzegłszy się, że przedstawiony powyżej kierunek literacki nie jest w ogóle realizmem, nazwijmy go dla wygody i ze względu na tendencję jego przedstawicieli hiperrealizmem. Zazwyczaj hołdują oni ideałom ogólnoludzkim. Wierzą lub udają, że wierzą, iż można doprowadzić do tego, żeby na świecie wszystkim było dobrze. Przeszkodę widzą w istniejącym porządku społecznym i w rozpowszechnionych ideach, szczególnie w nacjonalizmie, który do-

prowadza do wojen, w szczególności zaś doprowadził do wojny światowej.

Ona to jest ich ulubionym przedmiotem. Barbusse we Francji, Remarque w Niemczech, Sanoon w Anglii, Dos Passos w Stanach Zjednoczonych, i tylu innych — rzecz charakterystyczna, że prawie wszyscy z pochodzenia Żydzi, z przekonani politycznych komuniści — odmalowali wojnę w stylu hiperrealistycznym, z całą jej okropnością i brudem, zresztą efektownie i z mniejszą lub większą dozą talentu.

Lecz obrazy ich są fałszywe. Wszyscy oni malują wojnę z punktu widzenia szeregowca, podoficera, co najwyżej oficera subalterna, zaznaczając jaskrawe przeciwieństwo między nastrojem szarego tłumu z okopów, a tych, którzy go posyłają na śmierć, bo im wojna przynosi korzyść. A ten szary tłum nie ma żadnej idei. Nie zna tego, co etyka filozoficzna określa jako wartości tymetyczne, nie zna patriotyzmu, sławy, poczucia obowiązku — bo to trzecie zastępuje obawa kary. Czyż można pomyśleć, że gdyby w armiach, które przez cztery lata zmagali się ze sobą, było naprawdę takie usposobienie, wojna mogła być trwać choć przez miesiąc?

Jakaż jest psychika żołnierza u hiperrealistów: Czysto zwierzę. Pragnie on zaspokojenia głodu, pragnie wygody i użycia, pragnie bezpieczeństwa. Szczytem ich marzeń jest alkohol i kobieta — pierwsza z brzegu. Żadna iskra wyższego uczucia: nie rozświecła ich duchowej natury. Co najwyżej współczucie: jeden drugiemu — ale i ta solidarność płynie z interesów egoistycznych. Jeżeliby człowiek naprawdę był taki, to nasuwa się pytanie, czy warto budzić dla niego litość, czy warto wyznawać ideał humanitaryzmu, który przyświeca hiperrealistom. Niechby taka ludzkość wytepiła się wzajemnie przy pomocy dział, karabinów maszynowych, min i gazów trujących. Im prędzej tem lepiej. Ale na szczęście ludzkość taka nie jest.

PODKŁAD IDEOWY

Nie dzisiejsi hiperrealiści pierwsi wynaleźli pesymizm. Bywały utwory gorzkie, przedstawiające naturę ludzką w najgorszym świetle. Czyniono to jednak w myśl innego ideału, jaki miano przed oczyma. Hiperrealiści człowieka wcale podnieść nie pragną. Chcieliby tylko przez środki zewnętrzne, przez zmianę ustroju społecznego takiemu jakim wedle nich jest, zapewnić maksimum szczęścia.

SŁOWNICTWO.

Opisy ich bywają mocne i efektowne, a obejmują także to, czego dotychczas się nie opisywało, co uchodziło za tabu. To już rzecz smaku — i mody. Nadto weszło u hiperrealistów w zwyczaj używać wyrazów, które dotychczas były naogół wyłączone z literatury — im więcej, tem lepiej. Każda strona zdobią słowa lepkie i cuchnące. Trzeba powiedzieć, że pozostaje to w harmonii z całą koncepcją życia, jaka powieści te cechuje. Treść znalazła odpowiednią formę. Ale o formie należy powiedzieć to, co już powiedzieliśmy o treści.

To nie realizm, to przesada w kierunku obrzydliwości. Najniżej kulturalnie stojący człowiek wstydi się pewnych rzeczy i określa je przy pomocy eufemizmów.

Sam więc hiperrealizm zasługuje na ocenę bezwzględnie ujemną, a na uwagę

tylko wtedy, gdy z przedstawionymi tu jego zasadniczymi rysami łączy się wybitny talent, objawiający się w charakterystyce, w nowej technice opowiadania, w stylu i w języku. Te względy skłoniły mnie niedawno do omówienia na tem miejscu „Ulissesa” Joyce’a — który zresztą do hiperrealistycznej szkoły ściśle nie należy, tylko ma z nią dużo cech wspólnych.

TROJGŁOS CHWALCÓW

„Podróż do kresu nocy” Céline’a podobnych zalet nie posiada i robienie z niej arcydzieła jest jedynie sztuką reklamową, dowodem lubowania się w brudzie, w najlepszym razie objawem bezkrytycyzmu, przysięgającego pochopnie na słowa zagranicznych magistrów.

Bo trzeba powiedzieć, że miał on w szerokim świecie szereg pochlebnych recenzji. Wydany niedawno angielski przekład przyniósł na opasce po jednym głosie francuskim, niemieckim i amerykańskim. Znajduję je zacytowane w recenzji Sir Johna Squire’a (Sunday Times z 24 czerwca b. r.).

Rzecz nieco dziwna, że głos francuski pochodzi od Leona Daudet’a, słowa jego wyglądają jednak na wyrwane ze środka jakiegoś artykułu. Słyszemy tu, że książka należy raczej do XVI, niż do XX wieku, że „pewni czytelnicy uznają ją za oburzającą, nieznośną, nawet okrutną, lecz że wzbudzi entuzjazm innych”. Niemiecki recenzent — najwidoczniej w duchu hitleryzmu — chwali przedewszystkiem siłę — podkreśla tę cechę u Céline’a, zowiąc ją niezrównaną i podniecającą. Wedle niego autora słusznie nazwane nowoczesnym Rabelais. Najmniej rezerwy okazuje Amerykanin i warto przytoczyć jego tytrać prawie w całości:

To wstrząsająca książka — brutalna, brudna, gwałtowna, straszliwa, to rodzaj koszmarniej wizji świata bez wewnętrznej wartości i prawie bez piękna... Wybrednych czytelników, tych, którzy do rozpacz doprowadza język rynsztoków lub wzmiątki o funkcjach fizjologicznych, należy przed nią przestrzec. Jest naprzemiennie piękna, patetyczna, komiczna, zapierająca dech w piersiach, wywołująca nudności. To najbardziej paląca, przeznaczona na brzmienia książka, wydana dotychczas przez Francję, dla której odrzucenie przez wojnę było koniecznością, może najsilniejsza książka, wydana przez Europę, od której demokracja dała jej bezpieczeństwo.

Prawdziwy wykwit niedorzeczności Squire, też wyraża wątpliwości, „czy ci entuzjastyczni dżentelmeni czasem poświęcają chwilę czasu na myślenie, zanim wezmą się do pisania”.

ZDANIE SQUIRE’A

Tłumaczy on dalej zdanie Daudet’a, który uważa świat zachodni w ogóle, a burżuazyjną Francję w szczególności za przeżarte zgnilizną, więc ciesz się, znajdując potwierdzenie tego na każdej stronie „Podróży do kresu nocy”. Natomiast nie podpisuje się Squire pod zestawieniem tej powieści z Rabelais’m czy z XVI w. „Zdaje mi się, że jest dosłownie jedna jedyna rzecz wspólna Céline’owi z Rabelais’m, a to brak powściągliwości w słowach”.

Zdanie Squire’a zasługuje na baczną uwagę. Jest to zapewne obecnie najwybitniejszy krytyk angielski, odznaczający się tem, że stara się zawsze uzgodnić punkt widzenia czysto literacki z punktem widzenia przeciętnego czytelnika, że waży i nowe walory techniki czy stylu i ideę i poprostu zdolność zabawienia lub zainteresowania, wszystko uwzględniając i unikając jednostronności.

Postuchajmyż, co Squire mówi od siebie:

Gdyby poglądy Céline’a ująć sumarycznie, z pewnością niejedną cywilizowany człowiek podpisałby się pod ich większością, zgadzając się, że wojna jest czemś potwornym, że kolonie eksploatuje się brudnymi sposobami, że chciwość jest również ohydna, jak mienasycona — „jednym słowem, że grzechy śmiertelne są śmiertelne”.

Lecz jakkolwiek brudy ktoś mógłby widzieć i o jakichkolwiek słyszeć: nie mogły być tak brudne, jak mną więcej wszystko wydaje się p. Céline’owi. Chory nerwowo, pełen obrzydzenia do życia, goni on za lupem po świecie podziemnym dwóch kontynentów, szukając i znajdując rzezie, chłostę, choroby, smrody, rabunku, rozpustę, bestjalstwa wszelkich rodzajów, i to z taką wytrwałością, że po przeczytaniu jego książki człowiek rozgląda się po zwanym światem i spostrzega, że to miejsce wcale spokojne i przyjemne w porównaniu z wizją p. Céline’a.

Dobrze charakteryzuje dalej Squire tendencję Céline’a do spostrzegania wszędzie obrzydliwości. Posługuje się przytem cytatai:

P. Céline nie potrafi opisać zwyczajnego zespołu pasażerów na okręcie, aby przytem nie powiedzieć: „W tym gotującym się garnku z gularzem tłuszczu, wydzielany przez każdą ludzką cząstkę koncentruje się” (nie trzeba dodawać, że autor jest prześladowany), albo zachodu słońca, aby go nie nazwać „straszliwym mordem słońca, niewiarygodnym blazystwem”, lub zabawy jarmarcznej, aby nie powiedzieć, że piwo było bez piany; że człowiek, który je rozosił, cuchnął potem, że w wydawanej reszcie były obce monety, ale że to wszystko trzeba było znosić „w drodze od głodu do więzienia”. Wiele najbardziej charakterystycznych miejsc niepodobna przytaczać. Kto ciekaw, może je sam sobie wyszukać, o ile zdecyduje się na przewlekłą i niewygodną podróż po szlachetnie i dynastycznie przy małym urozmaiceniu piękna lub nawet cynicznego humoru i przy niewielkim zainteresowaniu, jakie wzbudzić mogą wyraźnie rysowane charaktery.

Zestawia też Squire Céline’a z innymi współczesnymi lub znanymi naszymi czasom pisarzami, posiadającymi podobne cechy. Porównanie wypada w każdym wypadku na jego niekorzyść. Jeżeli idzie o talent językowy i tworzenie nowych wyrazów, to ktoś, kto czytał Joyce’a, nie zauważy nawet prób Céline’a. Odznacza się on histerią większą, niż Lawrence w swych najgorszych momentach, brutalnością większą, niż Andrejew — również w swych najgorszych momentach.

Dla powieści w stylu „Podróży do kresu nocy” znajduje Squire określenie „powieść chorych nerwów” (The Neurotic Novel) i konkluduje:

Jeżeli ta książka okazała się śpiewem łabędzim powieści chorych nerwów, to może zasłużyła na powitanie, jakiego doznała — choć z innych powodów, niż podane przez ów międzynarodowy arepag (z opaski).

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Szlachetne kruszce w fundamentach

Miasto San Louis Potosi w Meksyku założyli w r. 1589 franciszkanie. Od roku 1590 do 1656 były tam najwydatniejsze kopalnie złota na świecie. W jednym roku wydobyto go za 120 milionów złotych. Wydobywano również srebro. Podczas tego „wieku złotego” zwracano uwagę jedynie na najlepszą rudę, późniejszych, często używano przy budowie domów. Dziś gorzej czasy. Mieszkańcy wzięli się do kopania i wytapiania szlachetnych kruszców z gruzów starych domów. Dawna świetność San Louis Potosi nie wróci, ale pomysł okazał się wcale zyskownym. Z tony gruzów otrzymuje się czasem po kilkanaście gramów złota i znaczną ilość srebra.

Sylwetka i jej twórcy

O powstaniu sylwetki opowiada piękna legenda grecka, przekazana nam przez Pliniusza, co następuje:

Mistrz sztuki ceramicznej, Butades, rodem z Sikjonu, miał piękną córkę, która wieczorami widywała się pokrywając ze swym ukochanym. Pewnego razu zasiedzieli się oboje aż do świtu. Dogaśnięcie już rozpalone ognisko, a promienie wschodzącego słońca rzucały coraz wyraźniej cień młodego Greka na znajdującą się opodal gładką ścianę skalną.

Zauważyła to młoda dziewczyna. Fragnąc utrwalić i zachować dla siebie rysy ukochanego, podjęła z ogniska nadpaloną gałązkę i zwęglonym jej końcem obrysowała na skale sylwetkę swego kochanka.

Tak oto powstała pierwsza sylwetka, stworzona w chwili silnego afektu, ręką rozkochanej kobiety...

Historia jednak mówi co innego. Sylwetka, pojęta jako jednopłaszczyznowy ornament, utrzymana w jednym tonie, pojawia się już w zamierzchłych przedhistorycznych czasach, w sztuce starożytnego Egiptu i Grecji, — a zwłaszcza na tzw. wazach etruskich, zdobnych w klasyczne czarne profile.

W ścisłym związku ze sylwetką rysunkową, pojętą jako dzieło sztuki, pozostają też i owe, powszechnie znane „teatry cieni”, popularne od wieków aż do dziś dnia na Wschodzie, zwłaszcza na Jawie, a znane również w Japonii i Chinach, skąd jako tzw. „chińskie cienie” przeszły do Europy już w średniowieczu.

Moda chińskich cieni rozpowszechniła się szczególnie u schyłku XVIII. wieku (znany był zwłaszcza specjalny teatrzyk „Theatre Seraphin” w Paryżu), — a i w Warszawie pojawiają się podobne przedsięwzięcia, nazywane „szajnekatarynką”.

W tym samym mniej więcej czasie, „wybuch” nagle zupełnie, w całej Europie „moda” sztuki sylwetkowej. Wówczas też dopiero pojawia się po raz pierwszy nazwa „Silhouette”, zdobywając sobie szybko prawo obywatelstwa.

Skąd się ta nazwa wzięła? Pochodzenie jej jest niezwykle ciekawe: W pierwszej połowie ośmnastego wieku żył we Francji niejaki Stefan de Silhouette (ur. 5 lipca 1709), piastujący wysoki urząd generalnego kontrolera skarbu. Położył on duże zasługi około umiarkowania wydatków państwa, słynął jednak równocześnie ze swej drobiazgowości, przesadnej oszczędności i skąpstwa, co ostatecznie stało się powodem jego ustąpienia.

Przeniósł się wówczas do zbudowanego przez siebie zamku w Bry-sur-Marne. Jak podaje paryski „Journal officiel” z dnia 29 sierpnia 1869 roku.

„Jedną z głównych rozrywek właściciela było obrysowanie konturami twarzy, celem uzyskania rysunku profilu twarzy na murze. Ściany licznych sal tego pałacu pokryte były tego rodzaju rysunkami, które od imienia ich twórcy nazwano „silhouettes” (sylwetkami), — nazwa, która utarła się i pozostała na zawsze.”

Tak zatem osławiony ze swego sknerstwa i ośmieszony minister skarbu przeszedł do historii jako twórca sylwetek, — zupełnie zresztą niesłusznie, gdyż ten sposób portretowania profilowego znany był już dużo dawniej.

Jak już wspomnieliśmy, moda sztuki sylwetkowej, zarówno portretowej jak

i kompozycyjnej rozpowszechniła się z końcem ośmnastego wieku. Pojawiają się prawdziwi artyści, mistrze w tym fachu: Jean Hubert, Franc. Gonord, J. Agasse, G. Chrétien (u którego portretował się w roku 1793 Tadeusz Kościuszko) i inni.

W Anglii dużą sławą cieszyli się John Miers, Edw. Foster i A. Charles. Spotykamy tam również i polskiego artystę, nazwanego przez Anglików „Loecksi”, — co do którego brak jednak jakichkolwiek bliższych danych.

Zpośród licznych adeptów tej sztuki w Niemczech godzi się wymienić Fryderyka Anthinga, który w swych podróżach po całej Europie stworzył sto sylwetek najwyższej postawionych osobistości, między innymi i Stanisława Augusta.

A właśnie na okres rządów Stanisława Augusta przypada najbujniejszy rozwój sztuki sylwetkowej w Polsce. Pracowali na tem polu przeważnie artyści zagraniczni, dorywczo w Polsce przebywający. Z polskich wymienić należy ks. Czapelskiego i J. K. Lenczowskiego, których kilka kompozycji znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Poza tem mieliśmy całą masę mniej lub więcej uzdolnionych artystów, pracujących jednak przeważnie anonimowo.

A obok prawdziwych artystów — jeszcze więcej amatorów — dyletantów, rekrutujących się zpośród najwyższych sfer społeczeństwa, jak ks. biskup Krasiński, Kazimierz Małachowski, księżna marszałkowa Lubomirska i inni.

W pierwszej połowie XIX wieku wytworzyła się w Polsce prawdziwa „syl-

wetkomania”, polegająca na wycinaniu ciemnych figur ze starych, bezcennych nieraz sztychów i rysunków i naklejanie ich na jasnym tle. Wylepiano niemi najrozmaitsze przedmioty: parawany, szkatułki, skrzynki, niszcząc w ten sposób bezmyślnie ciekawe i wartościowe zbiory rycin. Dopiero wynalazek fotografii zadał ostateczny cios, tej szkodziwej, a tak rozpowszechnionej manji.

Obecnie sylwetka portretowa w prawdziwym tego słowa znaczeniu zeszła do rzędu miłej rozrywki, lub stała się sztuką zarobkową uprawianą przez wędrownych domowych „artystów” na jarmarkach, odpustach, kiermaszach. Sztuką zamierającą, nie wytrzymującą konkurencji z fotografiami „à la minute”.

Natomiast znajduje ona coraz szersze zastosowanie artystyczne w sztuce plakatu, przetworzona całkowicie pod wpływem wspaniałej a tak oryginalnej grafiki japońskiej. Ale nie jest to już dawna, prymitywna czarna sylwetka na jasnym tle. Dzisiejsza sylwetka jest prawdziwym dziełem sztuki, w którym zaznacza się pomysłowość i indywidualność autora — artysty.

Warto jeszcze zastanowić się, czy i jaką wartość ikonograficzną posiada sylwetka, a więc zasadniczo portret w profilu, sporządzony bezpośrednio z osoby żyjącej.

Słynny w ośmnastym wieku fizjonomista, pastor J. K. Lavater, wystąpił ze śmiałą teorią, że „sylwetka jest najprawdziwszą i najwierniejszą podobizną człowieka, jaką w ogóle można stworzyć”. Wystarczy zbadać wedle wszelkich zasad fizjonomiki czyjś profil, najlepiej

„w sylwecie”, aby poznać charakter tego człowieka, jego skłonności, zalety i wady.

Teoria ta spotkała się z bardzo krytycznym przyjęciem ze strony ludzi nauki, — temniemniej jednak przyczyniła się do olbrzymiego rozpowszechnienia się sztuki sylwetkowej.

Prawda jest, że w malarstwie portretowym od najdawniejszych niemal czasów zaznacza się wybitna przewaga profilu. Malarz jednak czy rysownik ma do dyspozycji cały szereg środków, pozwalających mu podkreślić i uwydatnić wszystkie charakterystyczne cechy portretowanej osoby, wyraz twarzy, głębię spojrzenia, charakterystyczne zmarszczki i linie, co wszystko razem właściwie decyduje o „wierności” portretu.

Ze sylwetką sprawa ma się zupełnie inaczej. Artysta musi ograniczyć się na możliwie wiernym odrysowaniu konturów profilu. O ile profil ten jest zdecydowanie wyrazisty i charakterystyczny dla danej osoby, — sylwetka zbliża się do wartości dość wiernego portretu. Przykładem tego są np. portrety sylwetkowe Kościuszki, Napoleona, Stanisława Augusta.

Gdy jednak idzie o twarze pełne, okrągłe, twarze „przeciętne”, nie posiadające żadnych cech charakterystycznych, — sylwetka nie jest w stanie dać wiernej i trafnej podobizny, — poza ogólnym charakterystycznym kształtem czaszki.

Uwydatnia się to zwłaszcza w portretach sylwetkowych kobiet, które nigdy nie potrafią oddać całego powabu i wdzięku, kobiecej urody, nawet przy najklasyczniejszym konturze.

I dlatego głęboką prawdę kryją słowa, umieszczone niegdyś nad sylwetką królowej pruskiej Luizy: „Il ne me reste que l'ombre...” (kr.)

Faworyt królowej Elżbiety jako hitlerowiec

„Buntownik angielski” brzmi tytuł dramatu, którego premiera odbyła się w ostatnich dniach maja w **Berliner Staatstheater**. Autorem jest Hans Schwarz, znany w Niemczech jako piewca ruchu narodowo-socjalistycznego, autor wierszy politycznych i wydawca dzieł Moellera van der Brück.

Bohaterem jest hr. Essex, faworyt Elżbiety (która w tym czasie dochodziła do sześćdziesiątki). Był to ambitny magnat, który dążył do korony i miał zamiar zmusić królową, aby mu oddała rękę. Z tymi planami łączyły różne nadzieje uciśnione odłamy narodu — zarówno katolicy, jak i zwyczajni protestanci czyli purytanie. Magnaci spodziewali się odzyskać wpływ na rządy, zredukowany do minimum wskutek maskowanego absolutyzmu Tudorów, spodziewano się też, że parlament dojdzie napowrót do znaczenia, liczone na zniesienie znienawidzonych monopolów i t. d. To też około Essex'a wytworzyła się grupa oddanej mu szlachty, gotowa do poparcia jego zamysłów. Aby przystąpić do ich wykonania, trzeba mu było jeszcze popularności w szerokich masach i liczył na to, że da mu ją sława wodza.

Rzeczywiście otrzymał naczelną komendę nad ekspedycją przeciw Hiszpanom, odniósł pewne korzyści, spalił szereg statków nieprzyjacielskich i miało Kadyks. Lecz wysłany później do Irlandji — prawdopodobnie za wpływem zawistnego wielkiego skarbnika Burghleigh'a, który przewidywał niepo-

wodzenie i kompromitację, — nie mógł sobie dać rady z tamtejszymi powstańcami, przekroczył pełnomocnictwa i zawarł hańbiący dla Anglii pokój. Za powrotem przyjęto go źle i umowy nie zatwierdzono. Wówczas dotknięty w swej dumie magnat próbował zamachu stanu. Okazało się, że ludność Londynu twardo stoi przy królowej. Zwolennicy Essex'a nie dotarli do jej rezydencji, musieli się zamknąć w pałacu hrabiego i po paru godzinach poddać na łaskę i niełaskę. Za dumny, aby się upokorzyć, Essex zginął na szafocie.

Ta treść historyczna dziwnie przetworzyła się w dramacie Schwarza. Essex przemienił się w niemieckiego **Paradekera** czy **blonde Bestie** i wygłasza tyrady w duchu narodowo-socjalistycznym. Otaczająca go szlachta robi wrażenie szturmowców, poprzebijanych w buflaste spodnie i hiszpańskie kryzy. Każde ukazanie się Essex'a wywołuje burzę radości u ludzi — gdyby tak było naprawdę, zamach stanu z r. 1601 byłby się udał, a Essex byłby, owdowiawszy po Elżbiecie, założył nową dynastję. Burghleigh reprezentuje typ polityka starej daty, nie rozumiejącego współczesnego życia i jego zagadnień, zapalowi młodego hrabiego przeciwstawia martwą rutynę.

To, co mówi w sztuce sam Essex, składa się razem wzięte na cały program hitlerowski. Deklamuje on dużo o młódzieży i jej zapale, gwałtownie atakuje parlament i papieża — w tym wypadku odbił się zatarg z Kościołem, —

poświęca też jedną po drugiej ciepłą wzmiankę jezuitom. Historyczny Essex nie miał powodu tego robić, bo każdy jezuita, schwytany w owym czasie w Anglii po odpowiedniej ilości przesłuchań z użyciem tortur ginął na szubienicy. Raczej spodziewano się na wypadek zwycięstwa hrabiego złagodzenia lub zupełnego usunięcia okrucieństw, popełnianych na katolikach.

W przedstawieniu pamiętano o tem, aby i bohatera i jego sympatycznie przedstawionych zwolenników, wśród których jest i dzielny żeglarz poeta Sir Walter Raleigh, ucharakteryzować na typy nordyczne. Ze względów scenicznych obcięto mocno polityczne deklamacje, tak, że punkt ciężkości spoczął właściwie na romansie Essex'a z królową.

Myśl przewodnia jest jednak jasna: Stuszość ma zawsze bohatera, burzący przestarzałe formy życia i ogarnięty świętym zapałem tworzenia czegoś nowego. Niestety zakończenia historii Essex'a nie można już było zmienić...

Dramat Schwarza odbiega daleko od sztuk, jakie po wojnie grywano na scenach niemieckich. Były one naturalistyczne w treści i w formie. Tymczasem Schwarz nie tylko sięgnął po temat do historii, ale przetworzył go w duchu romantycznym. Zawrócił też ku romantycznej formie, używając dźwięcznego wiersza białego, jak Schiller w „Marji Stuart” lub „Wallensteinie”.

Jau Szarzyński

Cyganie w Polsce

Przeglądając bibliografię ludoznawstwa ziem polskich, zobaczymy, że niemal wszystkie, nawet najmniejsze grupy czy to etniczne, czy religijne, na ziemiach naszych zamieszkałe, doczekały się już szczegółowych opracowań monograficznych, a jedynie pod nagłówkiem „Cyganie” prócz kilku drobnych szkiców jest zupełna pustka.

Powodem tego są trudności, jakie napotyka uczeni, zamierzający się oddać badaniom tego rodzaju wiecznych tułaczy. Cyganie są bardzo skryci i niechętnie dopuszczają do siebie obcych, a temsamem uniemożliwiają poznanie ich życia wewnętrznego, świata wierzeń, gusła i zabobonów.

Do dnia dzisiejszego nie określono dokładnie kiedy i dlaczego opuścił ten lud koczowniczy swoją pierwotną ojczyznę, za którą poczytują uczeni okolice nad dolnym Indem. Czy Cyganie są potomkami Sudrasów, czy Singarów indyjskich, czy też resztkami jakiegoś innego szczepu azjatyckiego, są to pytania do dziś dnia nie rozstrzygnięte.

Do Europy przywędrowali na przełomie XIII i XIV w., a w Polsce pojawili się już za Władysława Jagiełły, pierwszą o nich pewną wiadomość znajdujemy dopiero za króla Aleksandra w r. 1501.

W XVI i XVIII wieku były ich bandy u nas nierównie liczniejsze niż dzisiaj, a włóczyły się najęśniej po leśnych okolicach Polesia, Podlasia, Litwy, często też zaglądali w Sandomierskie i do Małopolski.

Żyjący za Zygmunta III kronikarz Marcin Bielski (1495—1575) tak pisze o Cyganach tułaczach:

„Lata od Narodzenia Pańskiego 1417 napierwaj się rodzaj cygański u nas i w Niemczech ukazał, lud próżniący, chyttry, tajemny, plugawy, dziki, czarny, wiary ani postanowienia nie mając: gdzie się przywłoka tam wiarę trzymają, aby im dawano; mowę sobie zmyślili ku kradzieży godną, aby nikt nie rozumiał, jedno sami sobie; stądże są misterni złodzieje, zwłaszcza żony ich, z których kradzieży żywią; aby ku temu lepszy przystęp miały wróżą białym głowom prostym, leda co mówiąc. Meżowie zaś rozmaitem szderstwem się obchodzą, końmi frymarczą, wytrychy złodziejom czynią i rozmaite igrzyska wymyślają.

Włóczy się po wszystkich krainach świata niedługo na miejscu trawiąc, by się kradzieżą bardzo nie sprzykrwali. W cudzych ziemiach Katy bywają, jako w Turcech i indziej, i na szpiegi jeżdżą do nieprzyjacielskich krain.”

Jak z powyższego widać, nie cieszyli się w dawnej Polsce Cyganie sympatią. Za czasów Zygmunta Augusta dopuszczali się rabunków, napadając licznymi bandami dwory. Zaczęto ich więc od tej pory prześladować i wypędzać z kraju.

Na sejmie w r. 1557 zapadła ustawa, że Cyganów należy wygnać i chociaż nie została w zupełności przeprowadzona, mimo to liczba Cyganów w Polsce znacznie się zmniejszyła. W 50 lat później w r. 1607 województwo podlaskie, gdzie było najwięcej Cyganów, wyjednało na sejmie złagodzenie ustawodawstwa. W r. 1624 stosowano dawne ustawy już jedynie do Cyganów nieosiadłych.

Idąc za przykładem Węgier ustanowiono dla Cyganów osobnego zwierzchnika, t. zw. króla cygańskiego. Wybranego z pośród nich saraę, a zatwierdzonego przez władzę państwową. Rezydencją tego króla był Mór w województwie Nowogrodzkiem. Królowie cygańscy ściągali do swej prywatnej skarbki wysokie opłaty i występowali jako dziedzic i opiekun z przysięgą

w otoczeniu barwnych dworzan i kapeli. Nie więc dziwnego, że szlachta nawet na takie dostojęstwo patrzyła okiem zazdrośnym i starała się po nie sięgnąć, co jej się w końcu udało.

Swojego czasu królem cygańskim był mianowany przez St. Augusta Poniatowskiego szlachcic polski Znamierowski. Uciskał on bardzo swoich poddanych, wobec czego wybuchła w r. 1789 rewolucja „pałacowa”, a król został sromotnie obity i zdeponowany.

W r. 1791 wyszedł rozkaz, aby Cyganie zaprzestali tułackiego życia, a osiedlili się po wsiach; od tego czasu osiadło i zmieszało się z ludnością rodzimą ziem polskich około 150 rodzin cygańskich po wsiach i miasteczkach południowej Polski i Litwy.

Resztki dawnych band, przerzedzone znacznie, tułają się jednak dalej. Trudni się oni kowalstwem, naprawianiem kołtów i handlem końmi. To ostatnie zajęcie zyskało im sławę bardzo przebiegłych oszustów i dlatego słowo „cygaństwo” przyjęło się jako określenie wszelkich nieuczciwych manipulacji.

Obecnie niema już w Polsce Cyganów wędrownych, rozsypali się po wioskach, gdzie zamieszkują lepiarki sklecone na krańcach wsi lub stare opuszczone domostwa. Żyją w nich „jako te ptaki niebieskie”, wszelkiej pracy unikają jak ognia a żebranią i łupem z drobnej kradzieży podtrzymują swą nędzną egzystencję. Jako ślad dawnego tułaczego trybu życia pozostały im pewne nawyczki: nigdy np. nie gotują Cyganie

jadła w izbie, lecz na ognisku przed chatą, trzymają bez potrzeby całe stery zgłodniałych psów, które dawniej broń miały obozu, pozatem zachowali dziwną słabość do koni.

Wielu z pośród Cyganów ma w okolicy sławę doskonałych konowałów. Cyganie osiadli jako żywioł mimo wszystko płynny, są dla władz źródłem ustawicznych kłopotów. Mają oni do dnia dzisiejszego osobną cygańską „władzę”, która spoczywa w ręku dynastii Kwieków, obowiązkiem króla jest trzymanie w ewidencji osiadłego u nas narodu cygańskiego, pomaganie i udzielanie wskazówek policji, gdy poszukuje Cygana przestępcy, sporządzanie wykazu poborowych i t. p.

Władcy jednak nie stają po różach, wystarczy tylko lekko narazić się któremu z poddanych, by król znalazł się w niebezpieczeństwie życia.

Cyganie, których tabory spotykamy na naszych gościńcach, nie są polskiego pochodzenia. Przybywają oni do nas z Rumunii lub Węgier, gdzie ich najwięcej i dają na zachód, przez Niemcy do Francji i Hiszpanji.

Są oni narodem naogół bardzo utalentowanym. Zdumiewającą jest n. p. ich łatwość przyswajania sobie obcych języków. Wśród tych tułaczy nierzadko spotkać można urodzonych poliglotów władających kilku językami europejskimi.

Jak już wspomniałem na wstępie, świat wierzeń, ustrój społeczny i rodzinny Cyganów jest dotąd bardzo ma-

ło znany. Posadzają ich, że tylko pozornie wyznają religię chrześcijańską dla ułatwienia sobie stosunków z ludnością wiejską i dla korzyści materialnych. Znane są bowiem wypadki że Cyganka chrzci kilkakrotnie to samo dziecko, żeby mieć sposobność wyłudzenia datków od zamożnych kumów.

U Cyganów jest ustrój rodzinny patriarchalny. Ojciec rodziny niczem rzymski paterfamilias posiada nad wszystkimi członkami rodziny władzę nieograniczoną. Żona jest niewolnicą męża. Małżeństwo nie jest niczem trwałem, jako powód do rozwodu służyć może bezpłodność kobiety co uchodzi za hańbę.

W obozach cygańskich, w skład których wchodzi po kilka rodzin, sprawuje jeden z mężczyzn (niekoniecznie najstarszy) władzę naczelną. Dawniej istniała władza jeszcze wyższa, regulująca zatargi między bandami i wyznaczająca im pewne terytoria, gdzie bandzie wolno było swobodnie operować. Cytowany powyżej Bielski pisze w swojej kronice:

„zasie na miejsca swoje rozdzielone z rotami swymi przychodzą, bo oni cudze królestwa między siebie rozdzieli, a gdzieby jedna rota drugą najeżdżała, czynią o to z sobą i porażają się okrutnie sami o to”.

Cyganie zachowali silne poczucie wspólności plemiennej. Ilekroć banda cygańska rozbiła obóz w pobliżu wsi, wszyscy w okolicy osiedli Cyganie zbiegają się w odwiedziny, by przynajmniej przez chwilę odetchnąć tą atmosferą obozową, do której pcha ich słabo jeszcze opanowana żyłka tułacza.

R. R.

J. Cartier - odkrywca Kanady

Dnia 20 kwietnia 1534 roku wypłynęła z bretońskiego portu St. Malo karawela „La grande Hermine”, okręt żaglowy o pojemności sześćdziesięciu ton. Wypłynęła w daleką, a nieznana drogę, — na polecenie panującego wówczas we Francji króla Franciszka I, wielkiego humanisty i protektora sztuk pięknych.

Śmiała ta ekspedycja spotkała się z protestem królów Hiszpanji i Portugalji: szło przecież o odkrycie legendarnych Krajów zamorskich, o znalezienie poszukiwanej oddawna drogi do Chin, o odkrycie krain obfitujących w złoto i drogie kamienie!

Ale Franciszek I nie zważał na te protesty, oświadczając bez ogródek wysłannikom Karola V, iż ma równe z nimi prawo do podziału Nowego Świata i z prawa tego nie myśli rezygnować, — chyba, że... pokażą mu testament Adama, zapisujący im całą Amerykę do podziału.

Dowództwo całej ekspedycji (składającej się z dwóch zaledwie okrętów żaglowych) objął — z polecenia królewskiego — śmiały, młody żeglarz Jakób Cartier. Nie był on nowicjuszem w swym zawodzie: obyty z morzem od najmłodszych lat, miał już za sobą kilka dłuższych wypraw, między innymi do Brazylii, skąd nawet przywiózł do rodzinnego miasta młodą Indiankę, wywołując tem niemalą sensację.

Przy pomyślnych wiatrach ekspedycja płynęła dość szybko na północny zachód. Po dwudziestu dniach podróży oba statki wpływały do Zatoki św. Wawrzyńca, którą przepływają w kierunku od północy ku południowi, w całej szerokości.

Wreszcie dnia 24 lipca 1534 Cartier

ładuje u wejścia do zatoki, już na ziemi kanadyjskiej. I tam — w obecności tłumnie zebranych Indian i całej załogi następuje uroczysty, historyczny akt: objęcie w posiadanie Kanady w imieniu Francji.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem i instrukcjami otrzymanymi od króla, — Cartier każe wystawić na brzegu wielki krzyż, wysoki na 30 stóp; do krzyża umocowana tarcza z herbem królów francuskich i napisem: „Vive le Roy de France”.

Królestwo francuskie powiększyło się o wspaniałą, bogatą kolonię. Cartier wraca wkrótce potem do Francji, uwożąc ze sobą dwóch synów wodza indyjskiego, Donnarony.

Ale już z wiosną następnego roku wyrusza na nową wyprawę. Tym razem ma już do dyspozycji trzy statki „La grande Hermine”, „Petite Hermine” i mniejszy galjon „Emerillon”, ze 120 ludźmi załogi.

Przeprawa jest ciężką, gwałtowne burze i wichry dają się we znaki żeglarzom. Dopiero w lipcu wszystkie trzy statki spotykają się u brzegów niegościnnego Labradoru.

Cartier postanawia tym razem z zatoki św. Wawrzyńca, ochrzczonej przez niego tem mianem w dniu 10 sierpnia, a więc w dniu tego świętego, popłynąć w górę rzeki wpadającej do tej zatoki, — rzeki, która również miała później otrzymać tę samą nazwę.

Mijają osady i wioski indyjskie. W pobliżu Hochelaga spostrzegają wyniosłą górę, z której rozciąga się wspaniały, czarujący widok na całą okolice i na szeroką rzekę.

Górze tej nadaje Cartier nazwę „Mont Royal” czyli „Montréal”. Tak oto dokonał się akt urodzin Montrealu, dzisiaj najważniejszego miasta w całej

Kanadzie, drugiego co do wielkości portu w całej Ameryce. Miasta, i z tego jeszcze względu osobliwego, że po Paryżu jest ono drugim z rzędu, największym miastem francuskim na świecie, biorąc pod uwagę narodowość i język jego mieszkańców.

Nadchodzi zima z silnymi mrozami, do jakich nie przywykli francuscy żeglarze. Cartier jednak postanawia przezimować w tej niegościennej krainie.

Ciężka to była zima: od połowy listopada do połowy kwietnia uwieczni wśród lodów i śniegu, pozbawieni odpowiedniego pożywienia, Francuzi zaczynają chorować. Zwłaszcza skorbut sieje wśród nich spustoszenie. Do tego i zachowanie szczepów indyjskich daje słuszną podstawę do niepokoju.

Toteż z nastaniem wiosny Cartier odpływa pokryjomy do ojczyzny, pozostawiając „Małą Hermine” na pastwę losu.

Powrót jego nie wywołał większego wrażenia. Franciszek I miał wówczas inne, ważniejsze sprawy i kłopoty na głowie, — o dalekiej Ameryce nie było czasu myśleć. A to tem bardziej, że Cartier nie przywiózł ze sobą spodziewanego złota, ani drogich kamieni. To co on uważał za djamenty, okazało się po zbadaniu zwykłym, bezwartościowym kwarcem...

Cartier nie daje jednak za wygraną. Po długich staraniach organizuje w roku 1541 trzecią swą wyprawę do Kanady.

Towarzyszy mu w tej wyprawie Roberval, mianowany przez króla gubernatorem Kanady.

Towarzyszy mu też pierwsza partja kolonistów francuskich, — niestety niezbyt fortunnie dobranych, bo są to przeważnie kryminaliści, więźniowie, skazani niejako na „zesłanie” i na po-

kutę w obcej, niegościnniej ziemi.

Wyprawa ta nie przynosi żadnych ważniejszych wydarzeń.

Współcześni nie potrafili ocenić należyte doniosłych odkryć śmiałego żeglarza, — który przecież pierwszy dotarł do Kanady, popłynął w górę rzeki św. Wawrzyńca i cały ten olbrzymi szmat ziemi objął w posiadanie imieniem Francji.

Nazwisko jego przypominano do-

piero obecnie, — w 400 lecie jego wielkopomnego odkrycia, w związku z wielkimi uroczystościami, jakie z tej okazji odbyć się mają zarówno we Francji jak i w Kanadzie.

Na uroczystości te wysyła rząd francuski trzy wspaniałe nowoczesne urządzone okręty, z których jeden „Champlain” wyruszy dnia 19 sierpnia dokładnie tym samym szlakiem, jakim przed czterema wiekami płynął Cartier

na swym maleńkim żaglowcu.

Nie zdobył Cartier tej sławy, jaka stała się udziałem innych wielkich podróżników i eksploratorów. Ale choć nie znalazł skarbów Inkasów, nie wywiózł do ojczyzny zrabowanych klejnotów i złota, nie splamił rąk krwawymi rzeziemi Indian, — nazwisko jego wiecznie figurować będzie wśród wielkich odkrywców i pionierów ludzkości.

(kr.)

Co można wyczytać z paznokci?

Był czas, gdy było bardzo modnem — wnioskowanie i sądzenie o zdrowiu oraz o walorach fizycznych i moralnych ludzi, a nawet o ich losie i przeznaczeniu, na podstawie uważnego badania pewnych części ich ciała. Wymienić w tym względzie wypada przedewszystkiem frenologię, z którą przez szereg lat było związane jako słynne imię Galla. Jeśli frenologia zajmowała się czaszką, to inni opierali się na policzkach, na nosie, a wreszcie inni jeszcze na rękach. O tych ostatnich należy mówić z całym szacunkiem, gdyż chiromancja — to dziś potęgą, mająca wielu wyznawców i jeszcze więcej kapłanów.

Zdawałoby się, że blisko spokrewniona z chiromancją będzie onychomancja, gdyż paznokcie — to tylko część ręki. Jednak medycy, którzy uznają onychomancję, odmawiają chiromancji wszelkiego z nią związku. Utrzymują bowiem, że podstawy onychomancji są ściśle naukowe. Jej znawcy na podstawie paznokci, nie wypowiadają się o wadach i zaletach ludzi, lecz starają się przynieść pewną i to cenną pomoc diagnozie i prognozie, gdy staje się to koniecznym ze względu na oczywisty stan chorobowy.

Rozpoznawanie chorób jest stale rzeczą trudną, to też sztuka lekarska nie gardzi nigdy nowymi wskazówkami, o ile one opierają się na jakiejś racjonalnej zasadzie i gdy potwierdza je doświadczenie. Otóż w zakresie onychomancji takie racjonalne zasady istnieją.

Po pierwsze paznokcie, choć pozornie wydaje się nie czującym i martwym, żyje i rośnie. Można tedy logicznie wnioskować, że jego wzrost podlega pewnym prawdom, tym mianowicie, które ogólnie decydują o wzroście i rozwoju organizmu. Po drugie — dzięki jego przejrzystości, można obserwować pod nim bogatą sieć naczyń, a także łatwo tu dojść do wniosku, że jego zabarwienie ulega zmianie, zależnie od cyrkulacji krwi. Po trzecie — paznokcie pozostaje w związku z końcowymi włóknkami nerwowymi, a ponieważ te ostatnie podlegają wrażeniom idącym od wewnątrz organizmu i reprezentującym zmiany zachodzące w jego funkcjonowaniu, to łatwo przyjąć, że owe procesy mogą się wyrazić w ten lub ów sposób na paznokciach.

Wszystkie te i tym podobne momenty musiały już dawno dawać ludziom do myślenia i nic dziwnego, że i tą drogą starano się dojść do pewnych rezultatów w dziedzinie zdrowia i jego zaburzeń.

Oprócz powyższych momentów anatomiczno-fizjologicznych, starano się wyciągnąć pewne wnioski z kształtu i spójności paznokci. Tu grają niezawodnie rolę dziedziczność oraz sposób i rodzaj pożywienia, jakie dana jednostka pobierała od urodzenia. Temat jest bardzo obszerny. Bez chęci jego wyczerpania, można stwierdzić, że paznokcie zbyt krótki oznacza pewien

niedorozwój organiczny, to samo też znaczenie przypisać wypada zbyt wąskości paznokcia. Twardy i łamliwy paznokieć ujawnia pewien stopień arterjo-sklerozy, paznokieć miękki wskazuje na niedostateczną żywotność. Są poza tem formy wyraźnie patologiczne: jaki zaś jest związek ich patologii z chorobowością całego organizmu, — to już jest zagadnienie zbyt specjalne, dostępne tylko w zakresie badań czysto chemicznych.

Oprócz kształtu paznokcia, wchodzi w rachubę również i jego kolor. Paznokcie różowe są poczytywane za oznakę zdrowia i równowagi. Paznokcie blade, to dowód braków w cyrkulacji krwi przez naczynia włoskowate. Bładość może mieć różne natężenia. W niektórych chorobach serca, przy zapaleniu płuc itd. paznokcie stają się ciemnoszare. Rzecz znamienna, że ta szarość pojawia się jeszcze przed chorobą; jest tedy jej zapowiedzią, co jest ważne dla diagnozy.

Kolor paznokci może jednak nieraz wprowadzić w błąd. Zależy on bowiem też od pewnych kwasów i wogóle połączeń chemicznych. Wtedy pewne za-

barwienie paznokci nie oznacza niczego chorobowego. Zwrócić jeszcze należy uwagę, że specjalną barwę paznokci spowodować mogą zajęcia zawodowe, a więc zajęcia złotników, zegarmistrzów, szlifiery i praczek. Tu onychomancja może oddać cenne usługi medycynie sądowej, przyczyniając się do stwierdzenia środowiska i zawodu, do którego należy osobnik o zakwestjonowanej, względnie nieznanej tożsamości.

Niektóre właściwości paznokcia cieszyły się oddawna specjalnem zainteresowaniem, a dziś też są badane z największą troskliwością. Jak wiadomo, u podstawy paznokcia znajduje się jego część bardziej biała, opalowa, stanowiąca niejako część jego korzenia. Otóż istnienie tej części paznokcia nie jest rzeczą stałą. Nie spotyka się jej ani na wszystkich palcach, ani u wszystkich ludzi, ani nie we wszystkich stanach ich zdrowia.

Wedle kilku nowszych badaczy, owa biała część paznokcia jest w ogólności wyrazem tego, co oni nazywają odpornością życiową, rezerwą sił organicznych lub żywotnością; każdy z nas

dysponuje pewną ilością tej treści życiowej, ale nie każdy w tym samym stopniu, a w jakim mianowicie, — to właśnie odślania biaława część paznokcia. Jeśli owa rezerwa życiowa człowieka się zmniejsza, to białawe części paznokcia znikają, jedna po drugiej. Ostatnimi z palców, które tracą białe części na paznokciach, są wielkie palce, czyli kciuki. Ale też gdy energia życiowa wraca, to białe części paznokcia pojawiają się z powrotem. Podczas rekonwalescencji można obserwować stopniowe pojawianie się i rozszerzanie białych części paznokcia.

Jest jeszcze do omówienia jedna rzecz, która też zwraca ogólną uwagę. Mamy tu na myśli ślady, pręgi poprzeczne. Otóż w tym względzie jest zgoda ogólna, że są one wyrazem tego co było, a nie tego, co jest. Paznokcie ustawicznie odrastają i jeśli były jakieś komplikacje w odrastaniu, pozostał ich ślad w owych pręgach. Przyczyną jest z reguły jakieś zaburzenie, jakiś błąd w odżywianiu ogólnem organizmu. Błąd odnośny wpływał wogóle na organy będące na drodze wzrostu, a więc i na paznokcie. Jak stwierdzają niektórzy badacze dotyczącego problemu, na podstawie śladów poprzecznych na paznokciach, można obliczyć czas, który upłynął od danej choroby, biorąc pod uwagę, że paznokieć odrasta mniej więcej na milimetr w ciągu tygodnia.

Reasumując tylko to wszystko, co zostało powiedziane wyżej (a można powiedzieć bez porównania więcej), trzeba przyznać rację medykowi, który odrzucając wszelką łączność chiromancji z onychomancją. Bo istotnie wskazówki tej ostatniej należą do dziedziny naukowej i dla medycyny są niezwykle cenne.

W.

Programy muzyczne P. R.

„Si tacuisses...” Chyba nie, Polskie Radio jest dzisiaj instytucją na tak mocnych opartą podstawach a wielostronnie rozbudowaną, iż się głosów t. zw. krytyki nie tylko ozbawiać nie może, ale nawet domagać ich powinno. Mówiąc o „krytyce”, a więc urzędzeniu o dość podejrzanej często konducie, mamy na myśli oczywiście sądy osób fachowych w dziedzinie dobrze im znanej, wypowiedziane w formie stosownej, a zawierające ocenę bezstronną danych zjawisk, czy świadczeń — w tym wypadku muzycznych.

Otóż przeglądając programy muzyczne P. R. (albowiem tymi chcemy się dzisiaj zająć) i porównując je z zagranicznymi, musimy stwierdzić — niezależnie zresztą od uznania, jakim cieszą się zagranicą, — znaczną ich poprawę wzgl. rozbudowę w ostatnim okresie, choć z drugiej strony trudno nie zauważyć pewnych luk w układzie tych programów, albo niedopatrzeń i niedociągnięć tej czy innej natury. Mamy tu na myśli muzykę t. zw. poważną, oraz układ programów — zarówno jeśli chodzi o całokształt (oczywiście względny) zjawisk muzycznych i pewne ogólne w tym kierunku wytyczne, jak i o zestawienie szczegółowych programów danych audycji. Zaczniemy od tych ostatnich.

Zestawienia programu, na który składa się szereg utworów muzycznych o drobnych lub większych rozmiarach, może, a raczej powinno uwzględnić w pierwszym rzędzie kwestię stylu, czy epoki wykonywanych dzieł, ich formę muzyczną, wreszcie charakter instrumentu, czy zespołu, na jaki zostały napisane. Nie wchodząc tutaj w bliższe rozpatrywanie, jakie właściwości składają się na pojęcie stylu wzgl. formy dzieła muzycznego, stwierdzić należy, iż niczem nieusprawiedliwione ugrupowanie w bezpośrednim następstwie utworów o zgoła rozbieżnych cechach stylistycznych, lub odmiennych formą muzyczną, wreszcie wykonanych przez najrozmaitsze instrumenty czy zespoły — jest nietylko „niestylowe” ale i nie pedagogiczne.

Możemy uznać, iż wybrane utwory mają być wykładnikiem stylu danej epoki muzycznej, względnie ewolucji pewnego

stylu na mniejszym lub większym odcinku historycznym, a nawet kontrastujących między sobą właściwości stylistycznych, ale trudno zgodzić się na nie nie mówiąc, niczem nie umotywowane koziołki stylistyczne, zdradzające co najmniej pokątny brak smaku artystycznego. Tosamo mniej więcej da się powiedzieć zarówno w znaczeniu pozytywnym jak i negatywnym w kwestii zestawienia programu, złożonego z utworów o najdziwniejszym nieraz doborze form wszelakich, a jeszcze gorzej, jeśli oba wspomniane, a źle ujęte czynniki zejdą się w jednym programie.

Cóż powiedzieć np. o programie skrzypcowym w którym Arja Bacha znajduje się między poematem Chausson'a a kaprysem Paganiniego, albo o programie fortepianowym, w którym bezpośrednio po „Mistrels” Debussy'ego usłyszeliśmy Rondo Beethovena g-dur („Die Wut über den verlorenen Groschen”), lub między rzewną kołysanką Czajkowskiego a jakimś patetycznym utworem Liszta — wesoło fruujące „Capriccio” Scarlatti'ego. Nie wspominać już o programach audycji wokalnych, stawiających nas czasem w kłopotliwym położeniu, gdzie umieścić najkorzystniej piosenkę Karłowicza znajdującą się w niewygodnym towarzystwie arji z „Za Leonvalla i kilku przebojów hiszpańskich”.

Należy jednak przyznać, iż jakkolwiek tych przykładów wziętych zupełnie do ręki można namnożyć bardzo wiele, układ programów P. R., który z natury rzeczy musi się liczyć z przeróżnymi względami o treści nieraz bardzo skomplikowanej, jest dobry, a inowacje, ostatnia wprowadzone, celowo i systematycznie dążą do objęcia najszerszego zasięgu muzycznego, oczywiście w miarę środków technicznej czy finansowej natury, stojących P. Radiu do dyspozycji.

Mówiąc o układzie programów wzgl. o wprowadzonych już inowacjach w dziedzinie audycji muzycznych, należałoby może wziąć pod uwagę dalszą możliwość celowej rozbudowy programów P. R. w kierunku zapoczątkowanego już systematycznego kształcenia szerokich mas radiosłuchaczy w ściśle oznaczonych dzie-

dzinach literatury muzycznej. Jeśli chodzi o historię stylów czy rozwój form muzycznych w pojęciu z doбором instrumentów odpowiednich, dałoby się może pokazać — o ile to nie miało jeszcze miejsca — jak uprawiało muzykę np. na dworze Fryderyka W. lub w intymniejszym gronie u ks. Radziwiłła, jak ciekawie może być użyta np. waltornia lub fagot (nie tylko u Mozarta) jako instrument solowy z tow. orkiestry, a w nowszych czasach np. harfa w zespole z instrumentami dętymi lub smyczkowymi, jak wartościowa, choć może nie tak bogata, jest np. literatura na zespoły dęte i mieszane, zarówno w muzyce klasycznej, romantycznej, jak i nowoczesnej.

Możnaby również wysłuchać w skupieniu wszystkich sonat skrzypcowych Beethovena czy Brahmsa, lub innych, sonat na wiolonczelę w ugrupowaniu, uwzględniając systematycznie tę wcale bogatą literaturę, wogóle muzyki kameralnej jako przeciwwagi dla występów solistycznych jak najwięcej.

A dla muzyki nowoczesnej zdąży się kazać stały, otoczony szczególną opieką i życzliwością, okraszony prelekcją muzykologa instruktywną, ogólnie przystępną, natomiast pozbawioną postyzującego dyletantyzmu. Czy dałoby się też np. Zarząd Filharmonji Warsz. nakłonić do układania programów, w którychby nie te same dzieła tych samych kompozytorów stale figurowały, a pewne „konki” wybitnych wirtuozów na pewien czas zamilknąć mogły. Czy możnaby np. przeprowadzić dyskusję przed mikrofonem na tematy z muzyką związane między kilku mówcami, choćby bardzo odmiennych zapatrywań, lub odczytami sztuki muzycznej? A skróty operowe wzgl. dzieła operowe w przekroju, zestawione z fragmentami najbardziej istotnych, powiązane streszczeniem akcji, a dające możliwe dokładny obraz całości?

Dążąc stałe do usunięcia pewnych uchybień w układzie swych programów, a pracując nad ich systematyczną rozbudową, postąpi P. R. znaczny krok naprzód na drodze swej społecznej i kulturalnej czy cywilizacyjnej misji.

Est

„Pan z San Francisco”

Nakładem wydawnictwa J. Przecznickiego w Warszawie ukazał się zbiór nowel ostatniego laureata literackiej nagrody Nobla Iwana Bunina pod wspólnym tytułem „Pan z San Francisco” w naprawdę dobrym, o ile się weźmie pod uwagę ogólny poziom dziełszych tłumaczeń polskich z rosyjskiego, — przekładzie Wacława Rogowicza.

Książka zarówno przez wydawcę, jak i przez tłumacza — najprawdopodobniej traktowana była jako aktualność, i jako taką brał ją niewątpliwie do ręki każdy polski czytelnik, ciekaw, za coż to przyznano najwyższe literackie odznaczenie świata jej autorowi, i jak też wygląda twórczość autora, mającego w opinii świata reprezentować literaturę rosyjską. Jako że jest Iwan Bunin pierwszym pisarzem rosyjskim, któremu zaszczytne to wyróżnienie zostało nadane.

Zgóry chyba można było powiedzieć, że każdy taki polski czytelnik dozna uczucia dezorientacji, zdumienia i przeżycie rozczarowania. Zarówno tytułowa nowela „Pan z San Francisco”, będąca w gruncie rzeczy prawdziwym arcydziełem sztuki nowelistycznej, jak i inne utwory, w jednym tomie z nią połączone, — sprawia, że czytelnik albo potraktuje książkę z niezadowolonym lekceważeniem, albo rzuci ją w kąt, kompletnie zdezorientowany.

Będzie to zupełnie zrozumiałe: od reprezentacyjnego pisarza rosyjskiego czytelnik polski spodziewał się czegoś zupełnie innego.

Przeciętni czytelnicy polscy, a nawet miłośnicy literatury rosyjskiej czy ludzie, uchodzący za jej znawców — o ile nie znają języka rosyjskiego i skazani są na zapoznanie się z przekładami jedynie, — wyrabiają sobie takie mniej więcej pojęcie o tem, czym jest literatura rosyjska (mowa, rozumie się o czytelnik dzisiejszym):

— owszem, literatura wartościowa i poważna chwilami wielka. Bardzo, bardzo oryginalna, trochę za egzotyczna: duch wschodu. Azja i t. d.

Przed wojną za ucisku carskiego też coś było — przedewszystkiem, rozumie się, Tolstoj i Dostojewskij. Wielkie to i potężne, takie rewolucyjne, takie bardzo społeczne, no ale i rozkładowe trochę, burzycielskie, nihilistyczne.

Oprócz tych dwu, trochę estetyzmu, dużo pornografii, zgnilizny moralnej (Andrej, Arcybaszew), no ale przedewszystkiem lud, lud... bunt, rewolucja, przewrót. A więc Gorkij, Gorkij i jeszcze raz Gorkij.

Tego trochę było przed przewrotem sowieckim, a rozkwit prawdziwy, prawdziwa literatura rosyjska, odzwierciedlająca prawdę o narodzie rosyjskim i jego duszy, — to te wszystkie, moc tych wydawnictw, które zasypany jest polski rynek wydawniczy — przekłady z literatury sowieckiej: Erenburg, Katajew, Gładkow, Sejfulina, Pilniak... Wszystko to takie twarde, proletariackie, ideowe światoburcze lub w ostatecznym razie chłoszczące stary świat i jego cywilizację liczącą satyrę.

Tak wychowany czytelnik polski istotnie zdumiony jest i zdezorientowany, biorąc do ręki „Pana z San Francisco”, nie znajdzie tam bowiem ani rewolucji, ani propagandy, ani apoteozy kolektywizacji, ani nawet pryncypiainych dyskusyj, szamotania się z własną duszą, czy pływania na zachodnio - europejską kulturę. Wyda mu się to nieciekawe, bo wcale nierosyjskie. I dziwić się będzie, za coż to było przyznawać nagrodę Nobla!

Szczerze mówiąc, potrosze dziwić się wszyscy. Bunin istotnie nie jest pisarzem, typowym dla tego, co określa-

my jako literaturę par excellence rosyjską. Nie stworzył on też żadnego wielkiego dzieła, co by wstrząsnęło sumieniami lub olśniło wrażliwość artystyczną. Bezsprzecznie, i dziś — są pisarze — Rosjanie, bardziej od niego zasługujący na nagrodę Nobla: już nietylko Gorkij czy Mereżkowski, ale ongiś inteligent dziś największy twórca literatury klasowo - proletariackiej, ex - hrabia, a obecnie czołowy artysta w Z.S.S.R. — Aleksy Tolstoj, autor najznakomitszej chyba powieści historycznej, jaką wydał wiek XX-ty „Piotr Pierwszy”.

Jest jednak Bunin największym nowelistą rosyjskim XX-tego stulecia i to może nietylko rosyjskim: cała jego twórczość w zakresie tego rodzaju literackiego, to wielki czyn artystyczny. Co więcej, Bunin reprezentuje tę część literatury rosyjskiej, której dziwnym trafem prawie zupełnie nie zna czytelnik polski, a nawet polski miłośnik literatury rosyjskiej. Reprezentuje dziś tak wielką odgrywającą rolę w piśmiennictwie rosyjskim XIX-go i początek XX-tego wieku „Zachodność, reprezentuje jej „europejskość”.

Zachodność ta jaskrawie uderza w twórczości największego poety rosyjskiego, Aleksandra Puszkina, i najwybitniejszego nowelisty XIX. wieku — Turgeniewa, którego twórczość zachwycała zdumioną zjawieniem się nowego rywalu literaturę francuską i angielską.

Zachodność ta uderza w całość wschodniej rosyjskiej poezji końca XIX-go i pocz. XX-go wieków: w twórczości Balmonta i Briusowa, W. Iwanowa i Gumilowa. Dziś zachodność tę reprezentuje Bunin, toteż nie dziwnego, że np. we Francji powitano odznaczenie go nagrodą Nobla znacznie gorzej i szczyzej, niż w sferach emigracji rosyjskiej, która po cichu dziwi się i wzrasta ramionami, że to Bunin dostał nagrodę, — a tylko na zewnątrz hałaśliwie objawia swą radość, w której to radości jedynym momentem naprawdę szczerym jest triumf spowodu odznaczenia autora emigracyjnego, a nie sowieckiego.

W tomie „Pan z San Francisco” przedewszystkiem zasługuje na uwagę obszerniejsza nowela tytułowa, jeden z najznakomitszych utworów Bunina. Jest to wspaniałe pod względem artystycznym „Memento mori” pod adresem człowieka, wychowanego w atmosferze kultu pieniądza i nieograniczonej wiary we wszechwładzę możliwości kultury materialnej. W tragedji człowieka, bezsilnego w obliczu śmierci, rozbrzmiewają naprawdę echa ajśchylosowe i dantejskie. „Pan z San Francisco”, napisany w roku 1915, stoi pod względem artystycznym najwyżej, chyba ze wszystkich jego utworów, a więc zarówno wyżej od poprzedzającej go „Wsi” (z roku 1909), która utworowała Buninowi drogę do Rosyjskiej Akade-

mji w Petersburgu, — jak i od późniejszych rzeczy, jak np. „Miłość Miti”.

Z innych utworów, przetłumaczonych przez Rogowicza i zawartych w jednym tomie z „Panem z San Francisco”, na czoło wybijają się „Szeroki oddech”, „Ida” (utwór na temat banalnego erotyczny, ale napisany tak dykretnie, tak subtelnie i roztaczający tyle prawdziwego czaru, — że trudno czegoś podobnego doszukać się w literaturze dzisiejszej, traktującej tematy erotyczne z bardzo małym poczuciem umiaru i subtelności), a przedewszystkiem prawdziwa perła, mikroskopijna arcydzieło — opowiadanie o miłości garbusa, kilkadziesiąt zaledwie wierszy liczące. Nieszczęśliwy garbus otrzymał list, w którym mu miłość swą wyznaje osoba odznaczająca się piękną obliczą i inteligencją, młoda, kulturalna, niezależnie materialnie. Szczęśliwy, że przecież i jego pokochano — ubiera się jak najbardziej elegancko i śpieszy z zamierzającym sercem na randkę. Naprzeciw niemu wychodzi ona, — piękna, młoda, elegancka, subtelna... też garbata!...

Wydawnictwo Przeworskiego zapowiada dalsze dzieła Bunina: „Wies”, „Miłość Miti” i jedyną jego rzecz naprawdę większą: „Życie Arsieniewa”, niby autobiografię, niby — rachunek sumienia z całego 64-letniego życia i twórczości, niby testament literacki. Po dziś dzień jednak zapowiedzi tych nie zrealizowało. (p. t.)

Wpływ atmosfery na odbiór radiowy

Pierwsze doświadczenia z przesyłaniem sygnałów radiowych ograniczały się do przestrzeni niewielkich, nie przekraczających kilkanaście kilometrów. Sprawa radiokomunikacji ponad olbrzymimi przestrzeniami (oceanami) była wówczas otwartą, a pozorną przeszkodą stanowiła tu wypukłość kuli ziemskiej. Do pokonania tej przeszkody okazała się pomocną warstwą atmosfery, otaczającą kulę ziemską.

Antena stacji nadawczej jest źródłem fal elektromagnetycznych, rozchodzących się we wszystkich kierunkach, z których wyróżniony kierunek fali powierzchniowej tzw. fali przyziemnej — bezpośredniej, oraz falę wypromieniowaną pod pewnym kątem (zmiennym) do horyzontu t. zw. falę przestrzenną — pośrednią. Fala pośrednia ulega odbiciu względnie załamaniu w górnych warstwach atmosfery, umożliwiając odbiór i zwiększenie zasięgu radiowego. Ta warstwa atmosfery od nazwisk jej badaczy zwana warstwą Kennely-Heaviside'a, zajmuje przestrzeń od 100 do kilkuset kilometrów. W skład warstwy Kennely-Heaviside'a wchodzi gazy, które pod wpływem promieni — pozafalokowych uległy jonizacji. Stopień zjonizowania jest zmienny i zależy od wysokości, zatem sferę Heaviside'a możemy uważać za szereg warstw o różnych współczynnikach załamania.

Fale przestrzenne załamują się w sferze Heaviside'a podobnie jak promienie świetne przy przejściu z jednego ośrodka do innego np. z wody lub szkła do powietrza. Ponieważ sfera Kennely-Heaviside'a zawiera szereg warstw załamujących przeto promienie fal elektromagnetycznych skutkiem kilkakrotnego załamania — zakrzywiają się i powracają na ziemię — Oczywiście część promieni o małym kącie nachylenia zakrzywieniu nie ulegnie.

Po tym wstępie możemy przystąpić do wyjaśnienia wielu zagadnień związanych z odbiorem fal elektromagnetycznych.

Jak już zaznaczyliśmy falę powierzchniową (przyziemną — bezpośrednią) wypromieniowaną przez antenę nadawczą, przebiega wzdłuż powierzchni ziemi lecz przebieg jej i zasięg jest ograniczony mocą stacji nadawczej, oraz absorpcją wypromieniowanej energii przez glebę i przedmioty znajdujące się w polu przebiegu fal elektromagnetycznych.

Gdyby nie było sfery Heaviside'a to odbiór radiowy byłby możliwy tylko w obrębie wypromieniowanej fali powierzchniowej. Sfera Heaviside'a zwiększa nam zasięg odbioru radiowego w ten sposób, że fala odbita przez sferę Kennely-Heaviside'a i wysyłana na powierzchnię ziemi, odbija się o nią, powraca znów do zjonizowanych warstw atmosfery, zostaje ponownie odbita i jedynie absorbcja terenu psuje chwilami ten proces stwarzając przestrzenie w których odbiór radiowy jest b. cichy albo też niemożliwy.

Są to t. zw. „pasy cisy” których istnienie poza absorbcją tłumaczy nam sfera Heaviside'a w ten sposób: Sygnały radiowe słyszalne na odległość tysięcy kilometrów, mogą być zupełnie niemożliwe do odebrania w pasie, który rozpoczyna się o kilkadziesiąt kilometrów od stacji nadawczej. Jeżeli oddalimy się od stacji nadawczej, to stwierdzamy stopniowe zmniejszanie się natężenia pola elektrycznego aż do jego zupełnego zaniku. Oddalając się dalej, przebywamy sferę zupełnego milczenia, poczem odbiór zjawia się znowu i to gwałtownie; otóż ten „pas cisy”, jest to przestrzeń położona między granicą odbioru fali przyziemnej, a początkiem odbioru fali przestrzennej, odbitej sferze Heaviside'a. Innymi słowy pas cisy powstał skutkiem tego, że część promieni fal nie zakrzywiła się z powodu zbyt dużego nachylenia.

Ten wpływ atmosfery jest korzystny dla odbioru radiowego, gdyż umożliwia dzięki sferze Heaviside'a osiągnięcie wielkich zasięgów, jednakże istnieją jeszcze wpływy szkodliwe, jak np. pas cisy, za-

niki. Zanik w odbiorze radiowym, jak sama nazwa wskazuje, jest to osłabienie odbioru często aż do jego zupełnego zaniku. Przyczem częstość zachodzenia tego zjawiska, jak też i czas jego trwania, są zależne od wielu czynników, często natury lokalnej, których określenie i zbadanie nastrocza poważne trudności.

Zanik (fading) powstaje skutkiem interferencji fali powierzchniowej z falą przestrzenną. Jeżeli chodzi o miejsca, do których fala powierzchniowa nie dociera, to tam przyczyną zaniku mogą być zmiany w tłumieniu fali przestrzennej, spowodowane różnicą jonizacji poszczególnych warstw sfery Heaviside'a.

Walka z zanikami doprowadziła do pięknych rezultatów w postaci wkładów antyfadingowych czyli przeciwwanikowych. Układy takie działają w ten sposób, że w chwili gdy natężenie pola elektromagnetycznego ulegnie zmniejszeniu (np. skutkiem interferencji), to lampa pracująca w tym układzie, automatycznie wzmacnia intensywniej, silniej. Gdy zanik kończy się, czyli gdy natężenie pola elektromagnetycznego wzrośnie, to lampa automatycznie zmniejsza wzmożenie prądów przychodzących, innymi słowy utrzymuje stałą siłę głosu. Układ przeciwwanikowy nazywamy inaczej układem z automatyczną regulacją siły głosu.

Wpływ pory dnia i roku na odbiór radiowy da się stracić w kilku słowach, których potwierdzeniem są osobiste spostrzeżenia i doświadczenia radiolubaczy. Odbiór w nocy jest lepszy — głośniejszy i dalszy, jeżeli chodzi o zasięg. Zasięg jest również większy w zimie niż w lecie. Jednakże dla fal poniżej 20 m. zachodzi zjawisko odwrotne, to znaczy, że na odległości powyżej kilkudziesięciu kilometrów, fale te słyszalne są jedynie za dnia.

Wi.

DAJ GROSZ NA L. O. P. P.

